

Przestrzeń – pismo dla szefów

25.02.2023

Piotr Wąsik

Dzkie podchody. Opowieści Teodora #2

„Kim jest Teodor i skąd się wzięły jego opowieści? Na pierwsze pytanie można znaleźć odpowiedź czytając cykl „Listy Starszego Brata do Młodszeo”, a w szczególności jego pierwszą część. Odpowiedź na drugie pytanie znajduje się za to w pierwszym artykule obecnego cyklu. Dla poprawnego odbioru poniższej historii nie ma konieczności zapoznawać się z wspomnianymi wyżej tekstami. Nie mniej z serca polecam zaznajomienie się z nimi. Ale oddajmy już głos Teodorowi...

Była noc, a ja stałem sam pod platformą. Mieszanka podniecenia, ekscytacji i strachu wprawiała w drżenie moje nogi. Na głowie założoną miałem podkoszulkę udającą kominiarkę. Te wszystkie elementy oznaczać mogły tylko jedno. Nocne podchody. Wraz z dwoma innymi ćwikami z mojej drużyny planowaliśmy podejść jeden z kilku sąsiadujących z nami obozów. Z Zająca ruszałem tylko ja. Pozostali podchodzący należeli do zastępu Borsuk, do którego na ostatnich harcach majowych przylgnął przydomek „Miodożer”, ze względu na nieustępliwość i waleczność w Wielkiej Grze. Felka – zastępowego i Julka – czołowego cechowała hardość i odwaga. Dlatego oczami wyobraźni widziałem nas wracających z podniesionymi głowami do obozu i opowiadających historię o tym, jak to wbiliśmy strzałki, wynieśliśmy wartownika i z podniesionymi głowami opuściliśmy „wrogi” teren. Moje rozmyślenia przerwał błysk latarki. Spróbowałem jeszcze opanować drżenie nóg, włożyłem za pasek drugą strzałkę „na wszelki wypadek” i udałem się do sąsiedniego gniazda.

Kilkanaście minut później nasza trójka szła drogą prowadzącą na dużą polanę sąsiadującą z obozem podchodzonej przez nas drużyny. Wymyślony przez nas plan wydawał się prosty. Mieliśmy zakraść się brzegiem lasu od strony zagajnika, obok którego stały maszty. Szybka robota. Niestety po dotarciu w pobliże obozu zauważyliśmy wiele latarek. Dla drużyny, której chcieliśmy wbić strzałkę, był to dopiero drugi obóz, więc chyba stwierdzili, że całym zastępem będą strzec masztów. Nie było to do końca uczciwe, ale my nie chcieliśmy odpuścić podchodów. Trzeba było działać inaczej. Przygotowani na taką ewentualność zabraliśmy ze sobą petardy. Plan B zakładał, że ja będę stał około pięćdziesiąt metrów od ściany lasu, krzyczał i rzucał petardy. Ściągnę swoją uwagę, a w tym czasie Julek i Felek wbiją strzałki. Przebywanie w odległości kilkudziesięciu metrów od drzew dawało mi możliwość ucieczki i przewagę nad goniącymi, bo zauważyłbym ich od razu, gdyby tylko wyszli z za drzew i pojawili się na polanie.

Przystąpiliśmy do działania. Niestety nasz plan zawiódł bardzo szybko. Zaalarmowani hałasem harcerze nie wybiegli na polanę, a zaczęli przeszukiwać okoliczne zarośla i szybko natknęli się na leżących tam moich kolegów. Mimo walki, chłopaki z Borsuka nie mieli szans przeciwko przeważającej liczbie wartowników. Ja jednak wtedy o tym nie wiedziałem, dlatego nie przestawałem hałasować. Krzyczałem jakieś niezrozumiałe słowa dobre pięć minut, gdy nagle na polanie wyłoniło się dwóch nieznanych mi harcerzy. Widząc to zacząłem uciekać, a oni ruszyli za mną. Po kilkunastu sekundach biegu dotarło do mnie, że trochę przeceniłem swoją kondycję. Tymczasem pościg zdawał się nie tracić sił. Czyżby te

„bezpieczne” pięćdziesiąt metrów, to było za mało? Moją nadzieją miał być las po drugiej stronie polany, w kierunku którego biegłem. Wiedziałem, że zanim się tam znajdę, muszę jeszcze przeskoczyć nad błotnistą drogą rozjeżdżoną przez leśny traktor. Coraz bardziej słabłem, ale wykrzesalem z siebie na tyle sił, że jednym susem pokonałem ciemną kałużę i zanurzyłem się w gęstwinie zarośli. Dopadłem do pierwszego większego drzewa i przyparłem do niego plecami. Ciężko oddychałem i nasłuchiwałem pogoni. Po chwili usłyszałem dwa głośne „chlup” oraz okrzyki niezadowolenia. Goniący mnie harcerze najwidoczniej nie zauważyli błotnistej drogi. To była dla mnie szansa. Wstałem i szybkim krokiem ruszyłem dalej.

Nie minęło pięć minut jak dotarłem do strumienia, za którym jakieś siedemset metrów dalej znajdował się kolejny obóz. Z obozującą tam drużyną miałem dobre stosunki, dlatego postanowiłem się do nich udać i spróbować namówić ich, aby większymi siłami wrócić i wbić strzałki. Zdjąłem buty i brodząc po kostki w wodzie przeszedłem na drugi brzeg. Zakładałem powoli skarpety na mokre stopy, gdy nagle usłyszałem trzask. „Ach czyli pogoń dotarła aż tutaj. Czyżby chodzili wzdłuż rzeki i szukali mnie?” pomyślałem i zacząłem wodzić wzrokiem po ciemnym lesie. Po chwili olśniło mnie, że przecież nie zobaczyłem światła latarek. Dźwięk się powtórzył tym razem z nieco innej strony. Na podchody nie zabrałem czołówki, więc zapalnikami niezbędnymi mi wcześniej do odpalania petard spróbowałem oświetlić swoje otoczenie. Niestety płomień był zbyt słaby i zobaczyłem tylko drzewo znajdujące się obok mnie. Za to w momencie chowania zapalników usłyszałem ciche „chrup”. „Dzik” – taka myśl od razu pojawiła się w mojej głowie. Przestraszyłem się i zamarłem nie wiedząc co robić. Na całe szczęście przypomniał mi się wierszyk z podstawówki i czym prędzej wdrapałem się na pobliską, niewysoką sosnę. Mogłem to zrobić, ponieważ w okolicy oprócz starych drzew rosło kilka mniejszych. Niepokojące odgłosy pojawiały się jeszcze w kilkudziesięciosekundowych odstępach przez kolejne kilka minut, a następnie ucichły. Odczekałem jeszcze dobre piętnaście minut zanim zszedłem z drzewa. Drugi raz tej nocy unikałem niebezpieczeństwa. Trzęsąc się jeszcze ze strachu, udałem się we wcześniej zaplanowanym kierunku.

Zbliżając się do obozu zacząłem powtarzać głośno „przybywam w pokoju”. Nim doszedłem do placu apelowego, zostałem otoczony przez wartownika i kilku członków jego zastępu. Większość z nich szeroko ziewała, ponieważ chwilę wcześniej zostali zbudzeni. W krótkich słowach przedstawiłem im swój plan. Zastępowy Marek zapalił się od razu do tego pomysłu i poszedł budzić pozostałych zastępowych. Dowiedziałem się od niego, że planowali tej nocy podejść tą samą drużynę co ja, ale wieczorem zostali w tajemnicy poinformowani przez swojego drużynowego o wyprawie z mojego obozu i nie chcieli wchodzić nam „w paradę”. Jednak, skoro sam przyszedłem do nich prosić o wsparcie, to nie mieli już żadnych argumentów przeciw podchodom. Przygotowania trwały moment, gdyż strzałki były zawczasu przygotowane i w grupie pięcioosobowej wyruszyliśmy w drogę na polanę.

Tym razem nie chcieliśmy kombinować. Główną drogą zakradaliśmy się do obozu. Nie widzieliśmy latarek, więc zapewne drużyna nie spodziewała się kolejnych podchodów tej samej nocy. Kiedy mijaliśmy zaparkowany przy drodze samochód księdza, jeden z towarzyszących chłopaków źle postawił stopę i stracił równowagę. Chwiejąc się, odruchowo chwycił się za lusterko stojącego obok auta. Lusterko wydało cichy trzask i nieco się opuściło. Alarm samochodowy zawył donośnie. Spojrzeliśmy na siebie i pędem rzuciliśmy się w stronę masztów, od których dzieliło nas kilkadziesiąt metrów. Będąc już nieco zmęczony, zostałem w tyle, dlatego gdy rozpoczęła się szamotanina z wartownikami, to ja dopiero dobiegałem. Szybko wyciągnąłem strzałkę i wbiłem ją w miejsce, które wydawało mi się placem apelowym. W tym czasie moi towarzysze zdawali się z sukcesem

odpychać od siebie przeciwników i usłyszałem, jak krzyczą „odwrót!”. Chciałem również zawrócić, ale w tym momencie zobaczyłem chłopaczka znacznie niższego ode mnie, który stał kilka metrów dalej i pokazując na orientacyjne miejsce wbięcia mojej strzałki powiedział „ha, ha, za daleko!”. „Dojść prawie pod maszty i nie wbić strzałki, to byłaby totalna kłapa”, przeszło mi przez myśl. Jednak zaraz mnie oślniło. Wyciągnąłem zza paska zapasową strzałkę zabraną z obozowiska. Rozejrzałem się szybko i kawałek dalej dostrzegłem zarys masztów. Podbiegłem tam i wbiłem podpisany przez siebie patyk, następnie odwróciłem się i zacząłem uciekać.

Biegłem w stronę polany, gdy nagle poczułem, jak ktoś łapie mnie za nogę. Przewróciłem się i usłyszałem znajome „ha, ha”. Tamten chłopak śledził moje poczynania i zaczął się na mnie za drzewem. Oczywiście nie mógł mnie na długo zatrzymać. Szybko uwolniłem się z uścisku, ale straciłem kilkanaście cennych sekund. Dopadli mnie pozostali harcerze zbudzeni alarmem. Nie było sensu dalej uciekać. Zostałem pochwycony i przyprowadzony pod drzewo, pod którym związani siedzieli Julek, Felek oraz jeszcze jeden, pomagający mi harcerz z sąsiedniego obozu. Pozostałej trójce udało się uciec.

Ze związanymi nogami i rękami siedziałem sam koło wysokiej sosny. Wartownicy rozdzielili nas, żebyśmy w większej grupie przypadkiem sobie nie pomagali. Nie uśmiechało mi się kupować coli na wykupne. Dlatego, gdy nikt na mnie nie patrzył, powoli zdjąłem buta i dzięki temu ściągnąłem pętle z jednej nogi. Na drugiej nodze zostawiłem sznurek, żeby z daleka wyglądało to jakbym nadal był związany. Nie pamiętam już jakim cudem, ale udało mi się również krok po kroku rozwiązać węzły na rękach. Teraz tylko wyczekiwałem okazji, gdy wartownicy znajdą się w takim miejscu, abym zdążył wstać i uciec. Na moje nieszczęście Julek również coś kombinował i zaczął powoli czołgać się w stronę zarośli. Został jednak szybko zauważony i wartownicy zarządzili kontrolę „jeńców”. Zarzuciłem sznurki na ręce, ale gdy przyszła moja kolej, kontrolujący mnie harcerz dostrzegł, że sznurek wokół nadgarstków jest rozwiązany. Brak sznurka na nogach nie został jednak dostrzeżony. To dawało nadzieję. Wartownik przywołał jakiegoś chłopaka i kazał trzymać mu moje ręce, a sam udał się do namiotu po nowy kawałek sznurka. W tym momencie zrozumiałem, że może to być moja ostatnia szansa na ucieczkę. Co prawda siedziałem z przytrzymanymi z tyłu rękami, ale potem mogłbym być już nie dość, że porządnie związany, to dodatkowo pilnowany. „Kombinuj, Teodorze kombinuj” powtarzałem w myślach. Po chwili rozmyślenia stwierdziłem, że spróbuję czegoś niekonwencjonalnego. „Czy możesz mi na moment puścić ręce, bo bardzo ścierpły od sznurka i chcę je rozmasować?” spytałem harcerza za mną. Przytaknął, więc powoli zacząłem trzeć ręce, po czym nagle wstałem i zacząłem biec. Mój wartownik był tak zaskoczony, że przez chwilę siedział dalej w bezruchu po czym krzyknął na alarm i puścił się pędem za mną. Jednak ja już nie miałem zamiaru dać się złapać. Biegłem, ile sił w nogach w stronę mojego obozu. Po kilkudziesięciu sekundach przestałem widzieć poświatę latarki na sobie, więc doszedłem do wniosku, że jestem bezpieczny.

Kilkaset metrów przed moim obozem była kapliczka. Zatrzymałem się przy niej i ciężko dysząc usiadłem. Odetchnąłem z ulgą. Tamtej nocy przeżyłem mnóstwo przygód. Byłem szczęśliwy, że udało się wbić strzałkę, a potem uciec. Już zacząłem układać sobie w głowie, co opowiem chłopakom z mojej drużyny, gdy z krzaków za kapliczką dobiegło głośnie „chrum”.